

Ciotka

- Jestem brzydka, piegowata i złośliwa - wypaliła księdzu na pierwszej w życiu spowiedzi Irka. Rozpaczliwie szukała jeszcze ważniejszych grzechów niż pożądliwość ciała, która kazała jej zjeść siedem ciastek w gościach. - I tylko to mnie trzyma, że jestem bardzo zdolna. Proszę mi to jedno zostawić. Na pociechę.

Ksiądz zaniemówił, Irka odetchnęła zadowolona z autokrytyki. A co z talentem? Pozostał, jak chciała.

Od tamtego wyznania w wileńskim kościele minęło niemalże osiemdziesiąt lat. Irena Sławińska, dziś profesor KUL, znakomity teatrolog, wykładowczyni wielu uniwersytetów na świecie nie chce, żebym pomogła jej robić kawę. Wyprowadza stanowczo z kuchni. Za to zgadza się zabrać mnie do wydrążonej w pniu duszehirki, potem do kajaka, nad Wilię, Niemen, kanadyjskie Kaszuby, wreszcie kochane Rogóżno w „KULonii”...

Jaka jest ta słynna Ciotka, jak nazywa ją - z całym szacunkiem - studenteria kilku pokoleń?

Wody pociągające

Dlaczego na początek duszehirka? Bo pachnie wodą. Jest rok 1915 albo 1916 rok. Seweryn Sławiński, inżynier kolejowy bije się właśnie na froncie, jego żona Helena z dwiema córkami: Ewą i młodszą o rok dwóipółletnią Irką uciekają z Wilna na Ukrainę, do Kremieńczuga. Z tamtej tułaczki zostaje wspomnienie wysokiej, podchodzącej pod pierwsze piętro fali Dniepru. Irka patrzy na wzburzone odmęty i ani myśli się bać. Za to chodzi jej po głowie, żeby tak skoczyć do tej wody i zobaczyć, co tam jest w środku. - To było takie pociągające - przyznaje dziś rację tamtemu uczuciu dziecięcej ciekawości i odwagi.

Irena Sławińska lubi pływać. Raz nawet została nimfą. W czasie wakacji w majątku koleżanki nad Jeziołem Pikieliskim, w późnych latach 30. Po przyjęciu postanowiła zażyć kąpieli pod gwiazdami, ściągnęła z siebie wyjściowe aksamity i chlup do czarnej otchłani. Korzystając z mroku nocy postanowiła przebiec do dworku jeno z tym aksamitem powiewającym na szyi z obawy przed

przemoczeniem, a tu po drodze chłop. Rybak stary idzie sieci zarzucać... To on się tego spotkania przestraszył, biorąc nagaą zjawę za boginkę Egle.

To ja, ojciec

Wojna przegania Helenę Sławińską z córkami, do Warszawy. Klepią biedę. Helena hrabianka z Kurnatowskich szuka pracy.

- Któregoś dnia, kiedy byłyśmy z siostrą same w domu, ktoś puka do drzwi - przytacza relację starszej siostry. - Ewa otwiera. Na progu stoi oberwaniec. Ewa chce dać mu kromkę chleba, a on: a ja jestem waszym ojcem.

Seweryn Sławiński wrócił z sowieckiej niewoli poturbowany psychicznie i fizycznie. Leczył się. Zmarł nie odzyskawszy zdrowia.

Po latach, w 1946 roku, historia zaprasza do powtórki. Irena z siostrą Ewą i jej synkiem Krzysiem mieszkają w Toruniu, gdzie w tamtejszym uniwersytecie schroniła się znaczna część śmietanki naukowej Wilna. Tam też ktoś puka do drzwi. Otwiera syn Ewy. - Pan do kogo? - pyta ostrożnie nieznanego. - Jestem twoim ojcem - odpowiada Waław Pecul, oficer zawodowy, akowiec, więzień sowieckich łagrów.

W domu pań Sławińskich, znów w Wilnie, pojawia się dziad, hrabia Michał Kurnatowski, powstaniec, ograbiony z majątku i zesłany na Sybir w ramach carskich represji. Majestatyczny starzec z dumną głową. Kalwin. Oschły. Nieprzystępny.

Orzeszkówka

Gimnazjum im. Elizy Orzeszkowej. O Irenie mówią: wybitnie zdolna. Jako czternastolatka zaczyna zarabiać korepetycjami. Uczy francuskiego, matematyki. Wspomaga domowy budżet. Półka książki: Orzeszkową, Gojawiczyńską, Dąbrowską. Czyta się w pozycji wyprostowanej, nie opierając się, broń Boże, o grzbiet krzesła. Maman nie pozwala. Maman kocha teatr. Chodzi z córkami na każdą premierę do Reduty. Kosztem masła na stole. Wpaja córkom przekonanie o wyższości „być” nad „mieć”. Liryki Horacego na pamięć, oprócz łaciny francuski, włoski (żeby móc czytać bez słownika), niemiecki.

Irena gra panią Herodową w szkolnym teatrze. Nie czułaby się dobrze w rolach wzdychających mimoz. Pod okiem Juliusza Osterwy rozkwitają amatorskie sceny. Lato w majątku państwa Wagnerów, na tak zwanej kondycji. Uroki wsi w zamian za nauczanie Zosi.

Ewa lubi życie towarzyskie, Irena biega na publiczne wykłady wielkich asów Uniwersytetu im. Stefana Batorego. Ma ambicje naukowe. Poza tym składa na kajak, bo latem czeka na nią Wilia. Ewa zaręcza się z przystojnym oficerem, Irena zdaje na uniwersytet. Jedna z pięciu najlepszych Orzeszkówek. Na polonistykę. Wyższa uczelnia była w owych czasach raczej dla wybitnie zdolnych. Wykładali znakomici profesorowie: Kridl, Górski, Pigoń i wielu innych.

Nie mogę dowiedzieć się, co nosiły, co śpiewały ówczesne nastolatki. - To moja siostra była strojnisią, nie ja - Irena Sławińska rozprasza moje pytania jak stado much. - Ja donaszałam sukienki po bogatszych kuzynkach, ale wcale mi to nie przeszkadzało.

Nic dziwnego: najważniejsza była nauka. Do dziś pani profesor ubiera się skromnie, wręcz ascetycznie, dodają jej dawne studentki. - W moich czasach nosiła perkalową sukienkę, skromny koczek - ciepło wspomni Krystyna Chruszczewska, niezapomniana Violena ze sztuki Claudela w akademickim teatrze KUL, rok 1954.

Słomiany Jurek

Na fotografiach ze starego albumu Irena ma długie włosy, rumiane policzki i szeroki uśmiech. Zniewalający. Bez kwiatków, falbanek i loczków. Hoża, wysportowana.

- Nigdy nie szukałam mężczyzny - wyznaje pani profesor. - Intymne sprawy dorosłych były dla mnie i Ewy tabu. W takim duchu wzrastałam. Chociaż, owszem, zaznałam i ja pierwszych całusów kuzynka Bolka na wakacjach w majątku ciotki Hani. Grzech, grzech, broniłam się, ale pragnęłam jednocześnie, aby ten pocałunek trwał jak najdłużej.

A szaleni chłopcy z kółka polonistycznego na wieleńskim uniwersytecie? Jurek Putrament. Lok blondwłosów opadający na wysokie czoło. Przystojny, uwodzicielski. Pani Irena powie: słomiany charakter. Chwilę byli blisko siebie. Po wojnie nie mogła zaakceptować jego czerwonego wiecowania i cieszy się, że na chwilowej bliskości się skończyło. - Miałam tyle rozumu, żeby się nie wiązać - podsumowuje znajomość z pisarzem.

A Czesław Miłosz? Najlepszy w ich polonistycznej paczce, a zaczynał jako student prawa. Nosił się wysoko, lecz nie z pychy. Zachowywał dystans i był prawdziwą gwiazdą. Do dziś są przyjaciółmi.

Ziutek

Józef Marcinkiewicz, blondyn o pociągłej twarzy. Geniusz matematyczny. Poznają się w Wilnie.

Równi sobie intelektem. Lubią spędzać czas na nartach, włóczędże po polach i lasach. - Ja przecież nie szukałam mężczyzny - opowiada pani Irena - ale on był wielką indywidualnością i pociągał mnie. Szykowałam się do doktoratu z tragedii Młodej Polski, dostałam stypendium w Paryżu. Ziutek dojechał. Może właśnie na bulwarze nad Sekwaną postanowili, że się pobiorą? - Kiedyś zapytał, czy potrafię coś ugotować - wspomina pani profesor. - Powiedziałam, że nie. Że weźmiemy służącą. Nie protestował.

I tak z tym pichcieniem zostało. Tyle że bez służącej. Pani profesor potrafi ugotować kartofle i może kaszę gryczaną - oceniają kulinarne umiejętności swojej nauczycielki dawne studentki. Krystyna Chruszczewska wspomina, że na teatralnych obozach we Fromborku pani profesor próbowała smażyć naleśniki.

Sorbona, teatr, spotkania z ważnymi ludźmi, między innymi Mauriakim. Narzeczony wyjeżdża do Anglii. Jest 1939 rok. Po powrocie do Wilna Irenę zastaje wiadomość, że został zmobilizowany. Po ujawnieniu listy katyńskiej już nie ma na kogo czekać. Teraz porucznik Józef Marcinkiewicz patrzy na nas z portretu w kącie pokoju. Portret wymalował jego kolega Kolankowski, któremu udało się uciec z transportu.

Czarna polewka

Uczy na tajnych kompletach, najpierw w Wilnie. Pracuje też jako podkuchenna w niewielkiej restauracyjce. Szef zadowolony. Panna Irenka zgodna. *Avec plaisir* - uprzejmie zgadza się na pucowanie śmierdzących beczek po śledziach i odtąd knajpiarz nazywa ją Miss Sorbona.

Na Żmudzi mieszka trochę w majątku starszej pani Sylwestrowiczowej. Tam poznaje dreszczyk swatów. Ogrodnik, Litwin po staroświecku panią Sylwestrowiczową o pannę zagaduje.

- Mnie nie pozwoliła z nim rozmawiać, wedle tej samej staroświeckiej receptury - śmieje się Irena Sławińska. - Ależ, diateńka, po co?, mówiła, to ja poznam, czy on tobie podchodzący, czy nie.

Nie podchodził. Więc staruszka zaprosiła adoratora na czarną polewkę, a do bryczki włożyła mu dynię w roli harbuza.

Precz

Glińciszki. Bolesne dotknięcie śmierci. Pod murem stoi 38 Polaków. Kilkoro uczniów tajnych kompletów prowadzonych przez panią Irenę. Strzelają Litwini. To porachunek z polskim oddziałem AK. Irena też ma zaraz stanąć pod murem. Tymczasem przyjeżdżają Niemcy i przerywają

egzekucję ratując życie pozostałym. Czy się bała? - Nie - odpowiada pani Irena. - Nie znam uczucia strachu.

1944 rok, pożegnanie z Wilnem. Panie Sławińskie jadą do Polski. Czują się wyrzucone. Przystanek w Toruniu. Przytulisko Wilniuków od Batorego w tamtejszym tworzącym się właśnie UMK. Odżywa Juventus Christiana, bez oficjalnego błogosławieństwa, ale przyciąga młodzież potrzebujących duchowej formacji. Pani Irena związana z organizacją jeszcze w wileńskiej epoce czuje się jak ryba w rzece. Natomiast nowy ustrój nie jest zadowolony z tej katolickiej żarliwości.

- Całą naszą wileńską ekipę uznano, i słusznie, za niewychowalną, nie było szans, żebyśmy się mieli nawrócić na komunizm - komentuje tamte toruńskie klimaty.

Została wyrzucona z uniwersytetu, wraz z innymi wilniukami, a żaden z ówczesnych decydentów nie miał sumienia podpisać się pod jej zwolnieniem. - Nie uważałam tego za klęskę - komentuje tamten wyrok. W 1950 roku zaprasza ją KUL.

Wyspa szczęśliwa

Pędzona przez historyczne wichry nigdy nie uwiła własnego gniazda. Zawsze w kolchozie wspólnej kuchni - w ciężkich latach 50., 60., i dziś. Ale nie jest samotna. Często w podróżach. Na uczelniach w Belgii, Szwajcarii, Stanach Zjednoczonych, Kanadzie - z wykładami i jako *visiting professor*. To ważny etap w życiu. Wciąż nowi studenci, nowe przyjaźnie. Z profesorem Johnem Wilsonem, który zapragnął, aby mu pokazała Wilno, z Donnita, która odwiedza swoją panią profesor co roku.

A w wolnych chwilach rozkoszna włóczęga po lasach, górach, jeziorach. Odkryła Rogóźno. Skleciła domek, posadziła las. Ściągali tam jej studenci na seminaria, kursy francuskiego. Habilitacji udzielili jej - wbrew zarządzeniu władz - Juliusz Kleiner i Stanisław Pigoń, dwa największe polonistyczne autorytety. Profesor Sławińska wspomina spotkania z Karolem Wojtyłą, dowcipnym, inteligentnym, mile widzianym towarzyszem pogawędek.

KUL - wyspa izolowana. Wspaniała młodzież, wspólne wakacje studenterii i profesorów. Wyspa trzyma się, bo w jedności siła. A Irena Sławińska nie opuszcza żadnej wyprawy.

Dlaczego Ciotka?

Krystyna Chruszczewska, długoletni instruktor teatralny WDK w Lublinie:

- Bo z jednej strony była wymagającym profesorem, a z drugiej wspaniałym przyjacielem. Bardzo otwarta. Jej wielkim umiłowaniem był teatr akademicki - opiekowała się nim, patronowała. Marzyła o teatrze kukielkowym. Na wakacyjnych obozach wystawialiśmy opowieść o królewnie Marmoladzie (marmoladę - z konieczności - jedliśmy codziennie). Zbyszek Stawecki układał śmieszne piosenki. Mojego męża poznałam w teatrze. Grał Jakuba w „Zwiastowaniu” Claudela, a ja Violenę. Jako prezent ślubny pani profesor ofiarowała nam „Tristana i Izoldę”. Lubiła wokół siebie młodych, zakochanych. Jest drugą po mojej mamie najdroższą mi Ireną. A Ciotka mówiło się na nią od zawsze.

Leszek Mądzik, twórca i dyrektor Sceny Plastycznej KUL:

- Wyjeżdżaliśmy z panią profesor i teatrem do Francji, Belgii. W podróżach poznaje się najlepiej. Jest w niej coś silnego. Taka harcerka. Nigdy nie narzekała na warunki - a często były spartańskie - szybko adaptowała się, choć wielu ludzi w jej wieku chciałoby już trochę komfortu. Szlachetne połączenie surowości z niewymaganiem za wiele. Autorytetu i stanowczości. Pamiętam, jak nas upominała: trzeba jeździć ze swoją pościelą, aby nikomu nie sprawiać kłopotu. Szlachetna osoba. Przybliżyła mi pojęcie sacrum w sztuce.

Danuta Bilińska, doktorat u prof. Sławińskiej w 1992 roku, nauczycielka polskiego w „Biskupiaku”:

- W licealnych czasach urzekła mnie książka pani Sławińskiej „Współczesne refleksje o teatrze”. Dlatego wybrałam KUL. Nie wypadało urywać się z zajęć u pani profesor. „No, kochanieńki...” - zawieszała głos i to wystarczyło za groźbę. Na wykłady przychodziły tłumy. Ma dość ostry język i finezyjne poczucie humoru. Potrafi celnie skomentować. Pięknie mówi. Pani profesor ma poczucie rodzinności. Wprawdzie nie ma opinii czulej osoby, ale ja jej czułości doświadczyłam. Kiedy byłam w ciąży, martwiła się, czy się nie przemęczam. Spowodowała, że opłaty za doktorat - miałam wtedy kłopoty finansowe - rektor rozłożył mi na raty, a swego honorarium się zrzekła.

- Są rzeczy, których żałuję - mówi o życiowych remanentach. - Może tego, że nie wyszłam za Ziutka za męża? Ale wszystko, co mnie spotyka, odnoszę do Boga. Najważniejsze, żeby to życie przeżyć z pożytkiem dla innych. A z marzeń?.. Żeby otworzyć nowy sezon pływakki.